

Próba autoportretu
w sześciu krótkich szkicach

I.

Zaginął poeta. Znałem go (oby: znam), są w necie ogłoszenia. I wszystkie ze zdjęciem, nikt nie opisuje twarzy. Owszem, ubrania – bo akurat tych, w których akurat tego dnia *wyszedł z mieszkania i nie wrócił*, na zdjęciu nie ma – ale nie twarz; powszechność i łatwość wykonywania barwnych zdjęć posłała do lamusa wypełniane kaligraficznym pismem rubryki z kolorem włosów, oczu, znakami szczególnymi (*pieprzyk pod lewą łopatką*).

Co gdybym to ja zaginął? Nie mam nawet koloru oczu. To znaczy nie mam koloru definitywnego, biurokracji to się nie podoba, że są zarazem szare i orzechowe, żółte i zielone, i jeszcze niebieskie. Rubryka nie przewiduje, rubryka nie mieści.

I taki też jest problem ze słowami: opis ogólny nikogo nie scharakteryzuje wystarczająco, żeby go zidentyfikować. Jest nas za dużo, a zmiennych danych za mało: szarooki (bo tak się to uśrednia) siwiejący ciemny blondyn z nosem prostym, wzrostu wysokiego? Mamy ich w każdym mieście kilkuset.

Za to opis szczegółowy jest zadaniem nieskończonym, nie ma kwantu tak drobnego, że nie moglibyśmy go przyjąć za podstawę, aż po milimetry, po atomy, po kwarki. A najlepsze, że posługując się nim, też nie moglibyśmy kogoś zidentyfikować, z tej plątaniny słów nie ułoży się w naszej głowie coś nawet tak prostego, jak rozpixselowane, niewyraźne zdjęcie.

II.

Bo w ogóle autoportret – *not my first rodeo*. Były rysowane, malowane, pisane. Kiedyś chyba bardziej się sobą interesowałem – twarzą, tym, co mówi poprzez twarz. Ale też cóż to jest za przygoda, to autoportretowanie, kiedy ma się kilkanaście, dwadzieścia, dwadzieścia parę lat: zupełnie nowy, dorosły człowiek, który wyklął się z poczwarki, nieproporcjonalnego ciała wyrostka, i teraz

przygląda się samemu sobie nowym, dorosłym okiem. Nawet niezachwycona sobą młodość jest sobą zachwycona, bo bezpośredniej dotyka świata. Całej jego zawrotności doświadcza opuszkami, wargami, językiem, skórą.

Niektórym to zostaje na całe życie – Rembrandtowi, wiadomo, na długo; Mapplethorpe’owi i Schielemu krócej, Francesce Woodman tyle, co nic; ale póki się dało, krążyli wokół swoich twarzy i ciał, badali je, zapisywali, rejestrowali. Mnie to minęło, może wróci.

Więc wstępne przymiarki – znam to z malowania. Usadzanie, obracanie. Mam czterdzieści cztery lata, prawie czterdzieści pięć, moje ciało się zmienia. Gdyby był to powolnie schnący olej, przez ostatnie lata musiałbym nakładać kolejne warstwy siwizny, zaznaczać pogłębiające się cienie. Co ze światłem? Ostre, wydobywające dokładnie każdą zmarszczkę i fałdkę, jak u Ribery i Caravaggia? Czy miękkie, rozmyte? Nie ma dobrej odpowiedzi. Każda zasłona pokazuje, gdzie celować; każde odsłonięcie pozwala się ukryć, zmylić.

III.

Byłem brzydkim dzieckiem. Chorowitym i pulchnym, nie bez przyczyny nazywanym w rodzinie Chruszczowem. Nie tyle właściwie pulchnym, co utuczonym, bo przez wiele miesięcy zamkniętym w specjalnych korekcyjnych szynach, które przypominały nieco maszyny, w jakie zamykano *kalekie pacholęta* w XVIII wieku. Ci, którzy dali mi to ciało w jego jednostkowych – i niedoskonałych – kształtach, rodzice i dziadkowie, czuwali teraz nad tym, żeby spełniało wymogi ciała stawiane. Musiałem chodzić prosto i nie zawijać nogami, nie siedzieć na podwiniętej stopie (prawej), nie opuszczać jednego ramienia (prawego), latać na gimnastykę korekcyjną do pana, który pokrzykiwał: *nie kompinuj, nie filozuj, ciągnij tymi rękami!*

Moje nieszczególnie udane ciało było ciałem dziecka, potem nastolatka, a ja nie miałem wobec niego wielkich oczekiwań. Zresztą wobec twarzy też nie. Dlatego to, co interesowało mnie w autoportrecie, to inna twarz i inne ciało.

W ogóle portret to napięta linka, struna naprężona, między *byciem-tym-samym*, a zatem podobnym, i *byciem-lepszym*, niekoniecznie *ładniejszym*, ale ciekawszym, godniejszym zainteresowania czy pożądania, dostojniejszym – zależy, w co celujemy. Malarz widzi to, co zastaje w twarzy klienta, z której zwisa

luźna linka; musi teraz zgadnąć, gdzie się znajduje punkt docelowy, i tam ją dowiązać, naprężyć do granic, by uzyskać właściwy ton.

Jeśli to autoportret, nie musi tego punktu szukać, od razu wie, gdzie się znajduje.

Co nie znaczy, że jest łatwiej.

IV.

Z jednej strony ostra, słonecznikowa żółć, z drugiej zimne indygo: taki się wyłaniałem z czerni papieru, nagi, z moim nastoletnim ciałem, z patykowatym, szczupłym ramieniem, zakończonym naprężoną dłonią, w której – w dwóch palcach, jak Dürer gałązkę mikołajka – trzymałem indygową łodygę lilii zwieńczoną wielkimi żółtymi kwiatami. Taki sam kwiat wyrastał z mojego podbrzusza. Po bokach, jak skrzydła ołtarza, jeszcze dwa wąskie panele z osobnymi liliami. Miałem lat szesnaście, mieszkalem z rodzicami, w tym wieku nie jest łatwo malować nagi autoportret w jedynym lustrze, które się do tego nadaje, w przedpokoju.

Kiedy miałem pięć lat, opowiadałem bajki: jedna z nich była o małym fiołku, który dopiero co wyrósł i strasznie chciał zakwitnąć, ale nie wiedział, co to znaczy, więc chodził po kolei do róży, jaśminu, ostróżki, lilii i wszystkie pytał, jak to jest kwitnąć, ale nikt nie potrafił mu tego dokładnie wyjaśnić – aż sam zakwitł i, zachwycony, powiedział: „A więc to tak!”.

Miałem szesnaście lat i chciałem tej samej eksplozji koloru i życia, o której marzyłem jako pięciolatek – i choć może więcej z niej rozumiałem, była tak samo jeszcze nieprzeżyta, na wyciągnięcie ręki niemal, ale nieuchwytna. Aż do „A więc to tak!”.

Następny – były w międzyczasie inne, pomniejsze, nieistotne – to Dawid: wygięty manierystycznie, też nagi, wsparty o miecz jak o wielki, strojny, wysadzany klejnotami sztuciec, z włosami wplątanymi w odciętą siwą głowę brodatego samca i – jak Dawid Donatella – z ogromnym kapeluszem: szkarłatnym atlantyckim ślimakiem.

Mój ojciec obraził się za ten rysunek. Słusznie, był to bowiem akt wypowiedzenia wojny.

V.

Autoportret może pokazywać to, kim jesteśmy dla innych, albo to, kim jesteśmy dla siebie, a zatem wbrew innym i ich roszczeniom. Ze wszystkich autoportretów najbardziej lubię te, które są znakiem niezgody. Harde. Niespełniające pokładanych nadziei. Niepragnące się podobać.

Potem tego Dawida jeszcze namalowałem: metr na półtora, nie przelewki. Zawiesiłem go na czerwonej ścianie, jeszcze czerwiejszej niż ślimakokapelusz, w naszym pierwszym – zresztą dotychczas jedynym – własnym mieszkaniu. Wisiałem całymi latami – dwudziestoletni i nagi, przegięty, z trzymaną na ugiętym nadgarstku głową pokonanego samca alfa – nad stołem. A niżej coraz starszy ja prowadziłem pod dawnym, buńczucznym mną grzeczne rozmowy nad imbrykami i filiżankami.

Ja robiłem swoje i on też robił swoje.

Na bliźniaczych bogów, nie wszystkie bestie żyją w Afryce.

Tak napisał Beardsley na swoim autoportrecie: pod wielkim czarnym baldachimem w kwiaty, w bezmiarze pościeli i poduszek, maleńka, niegroźna główka. Ale to nie on boi się bestii, bestią jest on sam. Miał dwadzieścia dwa lata, tyle, ile ja, kiedy namalowałem Dawida. Cztery lata później już nie żył – nie musiał przyglądać się, jak tamta bestia zostaje na zawsze młoda, choć on się zmienia.

VI.

Powiedzą, co to za bunt, stać przy sztaludze i dziobać pędzelkami. Ale to bunt najprawdziwszy. I długi poczet tych buntowników. Dürer, któremu pokazywano miejsce w ławach czeladników i majstrów, a namalował się jako wysferzonego *gentiluomo*; Sofonisba Anguissola, która sięgnęła po paletę zamiast po tamborek (a swoje siostry malowała przy grze w szachy); Caravaggio, który uwiecznił się jako ścięty łeb Goliata i Artemisia Gentileschi, pracownice piłująca

szyję Holofernesa; Velazquez ośmielający się dotrzymać miejsca królowi, van Gogh odsłaniający bandaż na okaleczonym uchu, Gerstl, biedny Gerstl, który rzucił wyzwanie Akademii i mieszkańcom, więc został zjedzony żywcem. Gołe, żółtozielone ciało Schielego, rozpięte na ogromnych białych płótnach. Curt Querner ściskający pokrzywę (a gestapo już by wiedziało, co ona symbolizuje), Felix Nussbaum z żółtą gwiazdą i dokumentem z pieczętką *JUIF*. Hockney z jego „we 2 boys together clinging” w czasach, kiedy szło się za to do więzienia. Autoportret rozszerzony o tego, którego uważa się za przedłużenie samego siebie.

Może właśnie dlatego autoportrety przestały mnie interesować: bo przestałem wyodrębniać samego siebie ze świata. Przynajmniej tak ostrym konturem. Z tych wszystkich, które chciałem namalować i nigdy ich nie namalowałem, ten największy, na całą ścianę nad łóżkiem: to samo łóżko, tylko widziane z góry. Pościel, skłębiona, dookoła parkiet (płaska srebrzynka szlagmetal pocięta na klepki), na środku my dwaj, śpiący pod mieniącą się perłowo, haftowaną w dzikie liście, łodygi i kwiaty kołdrą. Miałem już wszystko w głowie, miałem szkice, nawet kota – którego nie możemy mieć – wrysowanego dokładnie w okrąg, jak na japońskich znakach *mon* – ułożonego w prawym dolnym rogu.

Nigdy nie powstał. Ale tak długo, jak moje jednostkowe, niedoskonałe, stopniowo starzejące się ciało ma jeszcze władzę pamięci, istnieje tam, nienaruszony.

Warszawa, 7–27 III 2025